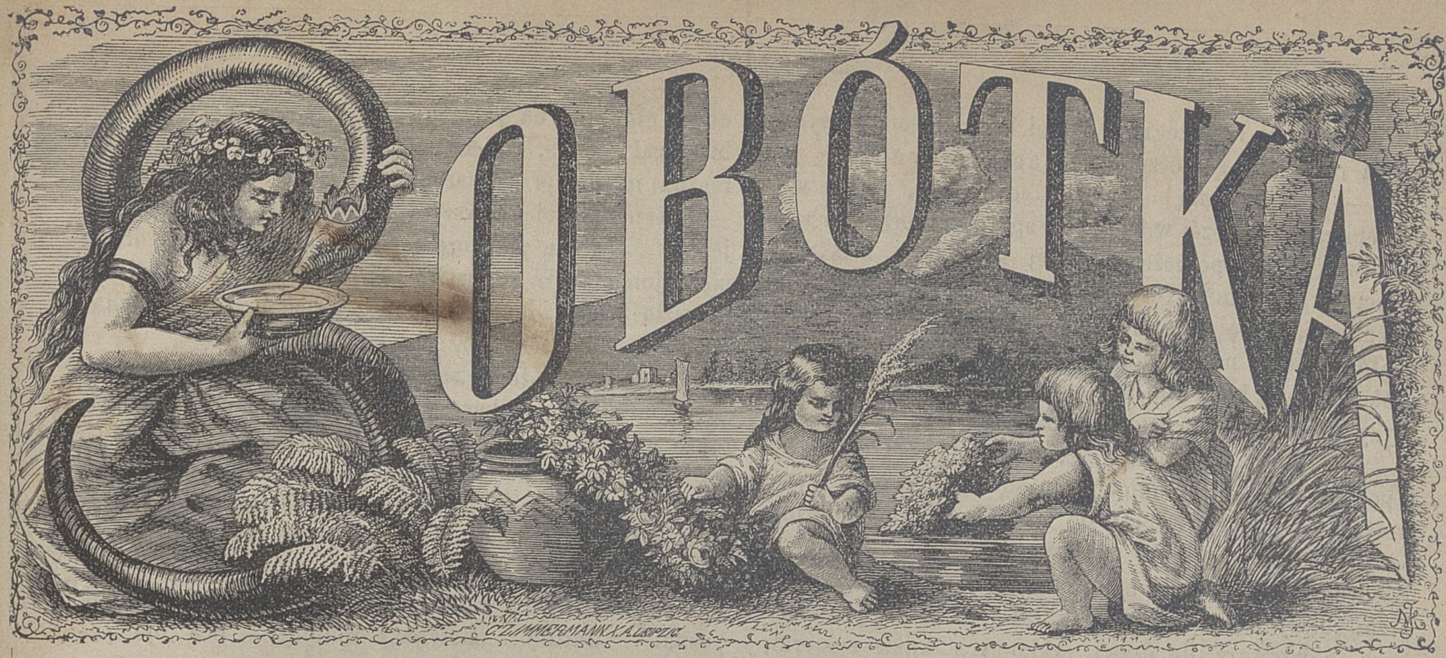


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 39. Poznań, dnia 25 Września 1869. Rok I.

W MĘTNĖJ WODZIE.

Obrazki współczesne

przez **J. I. Kraszewskiego.**

(Dalszy ciąg.)

— Nie występujesz pan przeciw... ale też nie masz odwagi wystąpić za... rzekł Sopoćko.

— Bo by się to na nic nie zdało... mówił Drabicki – w kwestyach ogólnych, mości dobrodzieju — uczucia religijnego, przywiązania do wiary przodków tradycyi narodowych i t. p. stoję zawsze przy sztandarze...

— Temu nie zaprzeczamy... rzekł Sopoćko.

— I nie możecie mnie na jednéj linii postawić z nowym dziennikiem, który otwarcie religii bój wytacza... paple przeciwko... encyklikom... władzy doczesnéj, gada za żydami, gotów z Tatarami trzymać!! hę... Gdybyś ie państwo do gorliwości religijnéj łączyli cokolwiek zmysłu praktycznego powinnibyście teraz całym obozem przerzucić się do mnie, popierać i propagować moją gazetę, a zabilibyście organ przeciwny!!

— I pan byś na tém zyskał! rzekł cicho Sopoćko.

— Ma się rozumieć, ale nie tylko ja, zyskalibyście też państwo... nie mało... bo bym wam przyszedł w pomoc do pozbycia się nieprzyjaciela. Ręka rękę myje, takie alianse nie są bezprzykładne.. a chłodny czy nie, przecież katolik jestem... temu nie zaprzeczycie.

— Hm! rzekł Sopoćko, patrząc w świecące oczy Drabickiego — hm! należałoby rozważyć.

— Należałoby i bardzoby należało — podchwycił Redaktor. — Ja mam tysiąc zręczności teraz ukąszenia i jego i was... Pojedynek... ostatnie numera więcéj niż czerwone... a wreście i cała historya téj aktorki Leny...

— Otóż, przerwał Sopoćko, zapominając się niemal — na początek zrób mi ty tę łaskę, żeby historyi z aktorką nie tykać...

A! nie tykać! dobrze! rzekł Drabicki — dla czegóż!

— Są osoby, które ona obchodzi... i spodziewają się jeszcze, że ją na lepszą wprowadzą drogę.

— Nie tykać! powtórzył Drabicki — chcecie? dla was to uczynić mogę... mogę się powstrzymać od aluzyi.

Czuł, że schwycił poniekąd i związał już Sopoćkę.

— Bardzo dobrze — dodał, ale panie dobrodzieju, w zamian przemówcie też między swoimi za abonamentem... niech przecie po waszych domach pokaże się moja gazeta... Wypychacie ją zewsząd... wszędzie u was Czas, Czas... przecie my nie gorsi nic od niego... bulle drukujemy... i będziemy drukowali choćby po łacinie.

— Zrobi się, zrobi się, co tylko będzie można, rzekł, kłaniając się Sopoćko.

— Rachuję na wpływ pański i znam jego ważność, jakby mi już parę set abonentów przybyło! odezwał się Drabicki — co chcecie! czasy ciężkie, redakcya kosztowna... ja goły... i gdyby nie dla... ojczyzny...

Posłyszawszy ten wyraz Sopoćko, już chciał uchodzić, przeląkł się, miał poniekąd słuszność. Wiedział on z doświadczenia, ile nim się rzeczy pokrywało i pokrywa, jak go niegodnie nadużyto i nadużywają. Przytem między osobami, w których kole żył Sopoćko... nigdy nie wymawiano imienia tego, stósując go wyłącznie do niebieskiéj tylko ojczyzny...

Zaczął się więc żegnać. Drabicki rozczulony chwycił go za rękę, aby zapieczętować pacta conventa.

— A więc stanęło na tém, ozwał się, że ja nie zaczepiam bez waszéj wiadomości sprawy aktorki... a wy, łaskawy panie, pomożecie mojéj sprawie... działając przeciwko nowemu dziennikowi. Jeśli się umiejętnie weźmiecie, ręczę wam, że z początkowych kilkuset abonentów zjedzie na kilkudziesięciu... Wiem od zaufanych osób, że kasa już i tak bokami robi... a wkrótce pa ęczyny w niéj będzie więcéj niż pieniędzy... cha! cha!

Sopoćko wyrwał się nareszcie, ocierając pot z czoła... i pobiegł... Drabicki ukłonił mu się, zatarł ręce i powoli kroczył daléj, wybrał się bowiem był umyślnie dla oddziaływania na opinią publiczną... jak się wyrażał... Zapewne jednak skutkiem braku materyałów do czynu... przeszedłszy się raz, drugi, wzdłuż i w szerz po ulickach, zajrzawszy do drzwi szklannych kilku cukierni, gdy zmierzchać zaczęło, schronił się do dyrekcyi policyi, gdzie już do póznego wieczora pozostał. Czy tam także chwalił się swém poświęceniem dla ojczyzny, o tém z pewnością niewiemy. Ale są tak różne ojczyzny, jak różni są ludzie!

Jeśli kto był w kłopocie i utrapieniu przez te dni, to czcinajgodniejszy ks. Kanonik... który od przybycia Leny do domu, nie wypuszczając z rąk brewiarza, poczynał modlitwy, żadnéj skończyć nie mogąc, stawał zamyślony i łzy mu się z oczów toczyły... wzdychał... klękał, rwał się wychodzić, stawał to w progu pokoju Sławka, to z niego uciekał słowem walczył z sercem i obowiązkami, nie mogąc wynaleść drogi, którą mu iść należało.

Nigdy jeszcze w życia ważniejszych wypadkach tak srogiéj nie podpadł wątpliwości, zawsze od pierwszéj chwili czuł i widział, dokąd miał iść — teraz po raz pierwszy litość, przywiązanie do ucznia, złamało go.

— Pójdę ztąd — mówił do siebie — po co ja tu? jam mu już niepotrzebny wcale... a patrzeć na tę nieprzyzwoitość, uświęcać moją przytomnością niejako to położenie fałszywe... nie godzi się! nie godzi się! nie godzi! Pożegnam go i pójdę...

Potém już zebrawszy męztwo na pożegnanie... poczynał się reflektować.

— Tak! pójdę! łatwo to powiedzieć... ale wychodząc, zostawię ją tu panią... on chory... ta się tu wprowadzi i osiądzie... potém obowiązki wdzięczności... nałóg... Nie! nie! winienem przysługę podkomorzynie... dosiedzieć, zapobiedz, zreflektować... Uczynię jéj uwagi, ręczę, że się da namówić, aby sobie przecie poszła... ale trzeba powoli i ostrożnie...

Tak mówiąc, wzdychając co chwilę, cały dzień nic w usta nie wziąwszy, Kanonik ku wieczorowi osłabł, ledwie trochą kawy czarnéj się odżywił i znowu chodził, dumał a wzdychał.

Zmierzchało już i świece zapalono... Lena u stóp łoża na ziemi klęczała na dywaniku, sparta o poręcz, patrząc często w oczy Sławka... który nie wiele jeszcze mógł mówić...

Kanonik przesuwał się niekiedy około drzwi, rzucił okiem, potrząsł głową, pomruczał coś i chodził tak, niby na straży... W tém po cichuteńku otworzyły się drzwi główne i na palcach, ostrożnie... wsunęła się kobieta zakwefiona, widocznie (jak z ruchów poznać było można) młoda, przestraszona... onieśmielona... stanęła...

Kanonik zobaczywszy ją, osłupiał... Nie dość było jednéj... jak na przekorę jemu los zsyłał jakąś drugą nieznajomą... W pierwszéj chwili nic mu na myśl nie przyszło tylko zdumienie nad zepsuciem tego ukochanego Sławka, który tyle niewiast bałamucił.

— A! bezbożnik! zawołał w duchu.

Nieznajoma zobaczywszy niespodzianie Kanonika, także przestraszona o krok się cofnęła... milczący stali tak przeciwko sobie. Zdawało się, że biedna owa istota zechce uciec... Kanonikowi również zbierało się na łzy i ucieczkę... Myślał, otrząsłszy proch ze stóp swych, wyjść co rychléj z tego domu...

W tém drżąca ręka podniosła zasłonkę i Kanonik poznał - Jadzię... odetchnął wolniéj — boć był pewnym, że przybyła z matką.

— A! to wy! zawołał ucieszony... a mama...

— Mamy niema! ja sama jestem, odezwała się po cichu Jadzia, byłam niespokojna o Sławka... przybiegłam na chwilę zkę...

— Sama? jakto? może i bez pozwolenia?

— A! ojcze! mój ks. Kanoniku, żywo poczęło dziewczę... ale nie łajże mnie, już i tak dobrą burę zniosę od mamy, alem się oprzeć nie mogła...

To mówiąc, posunęła się o krok, a staruszek w téj chwili z rozpaczą sobie przypomniał, że u łoża Sławka była Lena... Zaczął drzeć ze strachu, drzwi powoli przymknął i bądź co bądź, postanowił bronić wnijścia — ale jak? jakim argumentem i bronią? co tu począć!

Na samo przypuszczenie, że to dziecię nieświadome świata, niewinne, może się tam spotkać z tą... nieznajomą... jakąś niewiedzieć zkąd... kobietą, Kanonikowi robiło się słabo.

— A! ratujże mnie Boże i siły dodawaj! rzekł w duchu.

Jadzia zobaczyła, że drzwi zamknął staruszek i zarumieniła się.

— Chciałabym choć na chwilkę Sławka zobaczyć, rzekła...

— Ale... moja hrabianko... daję słowo... niepodobieństwo... śpi... doktor zakazał pod groźbą śmierci, żeby do niego nikogo, ale co się zowie nikogo, nie puszczać.

— Nikogo! przerwała Jadzia, ale ja! ja tu byłam w pierwszéj chwili, ja się przecię nie liczę... przyjdę na palcach i odejdę, nie powiedziawszy słowa... nie zrobię najmniejszego szmeru...

I złożyła rączki z minką błagającą, a w oczach dojrzał ks. Kanonik świecące łezki.

— Już moja dobrodziejko, rzekł stanowczo, żebyś mnie na nie wiem co zaklęła — nie puszczę... bo nie mogę! nie mogę! Bogiem się świadczę! to niepodobieństwo. Proszę mi wierzyć...

— Tylko zajrzeć!

— Ani nawet do drzwi się przybliżyć! odparł Kanonik... nie mogę...

Rozmowa była cicho prowadzoną, ale ci chorzy mają tak podrażnione nerwy, a słuch zaostrzony!

(Dal. ciąg n)

Łysa Góra.

(Do kończenie.)

W kaplicy św. Krzyża, o któréj w przeszłym numerze wzmiankowaliśmy, znajduje się w ółtarzu relikwiarz z cząstką drzewa krzyża Chrystusowego. Relikwiarz ten, ze złota wykonany, ma kształt podwójnego, niewielkiego krzyża z napisem, że r. 1614 sprawił go opat Bogusław Radziszewski. W tym relikwiarzu znajduje się pięć cząstek z Krzyża św., trzy sztuczki na rogach krzyża, poniżéj cały krzyż z drzewa Chrystusowego wyrobiony, a pod nim piąta cząstka w kształcie kwadratowego słupka. Podobnie starożytnych, religijną czcią okrytych zabytków, mało posiada Polska. Był wprawdzie w skarbcu polskim narodowym gwóźdź Męki Pańskiéj, ale wywiózł go do Francyi Jan Kazimierz Waza.

Jak wszystkie starożytne klasztory miały bogate i drogocenne biblioteki, tak i klasztór świętokrzyski posiadał jednę z najbogatszych bibliotek polskich. Gdy inne biblioteki klasztorne, jak np. owa sławna trzemeszeńska (gdzie był najstarszy klasztór na całą Polskę), przez Szwedów złupione były, to łysogórska aż do naszego wieku w większéj części się dochowała, i dopiero niestety! około 1800 r. zniszczoną została. Kilku z zakonników francuskich reguły Benedykta św. znalazło gościnne przyjęcie w klasztorze świętokrzyskim. Za to odwdzięczyli się w ten sposób, że przy porządkowaniu biblioteki większą część nieużytecznych, jak mniemali, szpargałów, spalili. Były tam rzadkie dzieła i rękopisy — szkoda zatém nieoceniona. Przytém zaszedł drugi jeszcze smutny wypadek. Klasztór świętokrzyski posiadał skarbiec, jeden z najbogatszych w Polsce, przechowujący drogie klejnoty, starożytne naczynia kościelne, wota itd. Prawdopodobnie były tam dary Bolesława Wielkiego, jako fundatora, były zaś z pewnością upominki, złożone przez Kazimierza Wielkiego. Skarbiec ten atoli był kilku tylko zakonnikom znany, pod przysięgą, że nikomu go nie wyjawią. I dla tego podczas tatarskich, litewskich i szwedzkich napadów skarbiec ów ocalał. Otóż jeden z braciszków, wynoszący księgi na spalenie, wyczytał w starym rękopisie, gdzie się ów skarbiec znajduje, jak doń trafić i jakie kosztowności zawiera. Zmówiwszy się ów niegodny braciszek z dwoma spólnikami, wykradł złoto i klejnoty i uciekł z klasztoru. Wprawdzie część skarbów odebrano zbiegom, większa jednak część została roztrwoniona. Odzyskane kosztowności jako i resztę pozostawionych w klasztorze, zabrał rząd austryacki, a ustanowiwszy dowolnie cenę, płacił od niéj rocznie klasztorowi 14,000 złp. czyli przeszło 2200 tal. rocznie. Gdy zważymy, że sam rząd oceniał te skarby, a zatém jak najniżéj i gdy zapewne tylko rzeczywistą wartość złota, srebra i drogich kamieni obliczał, nic nie licząc roboty, która zwykle więcéj, niż sam kruszec, ma wartości, i gdy uwzględnimy, że tylko małą część skradzionych kosztowności odebrano, to poweźmiemy wyobrażenie o bogactwach skarbca świętokrzyskiego. Śmiało przypuścić można, że miał najmniéj z milion talarów wartości, a prócz tego niektóre starożytne naczynia, jako zabytki historyczne, były nieocenione, gdyż za największą ilość pieniędzy już ich kupić nie można.

Zakon Benedyktynów świętokrzyskich ustał w początkach bieżącego stulecia. Ostatni Benedyktyn umarł przed kilku laty. Od r. 1851 użyto zabudowań klasztornych na pomieszczenie księży demerytów t. j. skazanych na kary przez władzę kościelną. Roku 1858 było w tym zakładzie 25 takich księży.

Wnętrze kościoła jest proste i piękne. W ółtarzach znajduje się siedm pięknych obrazów pędzla Smuglewicza, jednego z najznakomitszych polskich malarzy. W wielkim ółtarzu jest umieszczony obraz św. Trójcy, w bocznych zaś jeden przedstawia św. Emeryka, któremu się anioł pokazuje; inne wystawiają: Ostatnią rozmowę św. Benedykta z siostrą św. Scholastyką; zgon św. Józefa; śmierć św. Benedykta; znalezienie św. Krzyża przez św. Helenę i próbę cudotwórczości tegoż na choréj osobie i Niepokalane Poczęcie N. Maryi Panny. Szkoda, że przez wilgoć, a po części i przez nieumiejętne odnawianie obrazy te znacznie ucierpiały.

Z szczytu wieży kościoła przedstawia się cudny i czarujący widok oku wędrowca, wynagradzający hojnie poniesione trudy, jakie podejmować trzeba, aby szczyt góry osięgnąć. Widzisz tam u stóp swoich promień kilkunastomilowy, a w niektórych kierunkach ginie wzrok w nieskończonéj oddali. Z jednéj strony widzisz ojczyste Karpaty, stojące niejako na straży naszéj ziemi, z drugiéj górzysty brzeg Wisły, sięgający pod miasto Kazimierz w Lubelskie. Widzisz Kielce, o trzy mile odległe, z marmurów sławne Chęciny, 5 mil, i Busko, 8 mil oddalone. Te trzy miasta widać nawet od stóp kościoła. Przytém lasy, doliny, wody, pola, miasteczka i wsie niepoliczone.

To téż od dawien dawna nie tylko po ożni pątnicy, ale i ciekawi wędrowcy spieszyli na świętokrzyską górę, aby zwiedzić to miejsce, historycznemi wspomnieniami sławne i nasycić się cudnemi widokami. Poeci nawet opiewali Łysą górę; Wężyk tak się o niéj głosem natchnionym odzywa:

„Ta, co w chmurach, obłokach, harde czoło chowa,
Tak jak w przepaści wieków osada Lechowa,
Ta czczona od Sarmatów i Germanów skała;
Co na pierwiastki, świetność i zgon nasz patrzała,
Co jak potęgę Rzymian, tak naszą przeżyła,
Jakby zniklych narodów żałobna mogiła,
Stoi godłem zbawienia, krzyżem uwieńczona.
Tam się od wieków wznosi od połowy góry,
Dla światła nieprzystępny, głuchy i ponury,
Tajemnym sam wierzchołek obrzędom oddany;
W migających płomieniach zwiedzały niebiany,
Tu Lelum i Polelum miewały świątnice,
Zabobon swe siedlisko, gody czarownice,
Póki ich nie zniszczyła ręka Bolesława,
Na gruzach bałwochwalstwa święte wznosząc prawa.“

W ostatnich czasach sławna Deotyma (Jadwiga Łuszczewska) zwiedzając Łysą górę, powzięła myśl napisania pięknego poematu pod napisem: Tomira, który do jéj piękniejszych utworów należy. Znajduje się na drodze z Słupi na Łysą górę wykuty z kamienia polnego posąg olbrzymich rozmiarów, przedstawiający klęczącego pielgrzyma. Ręce złożone do modlitwy, a oczy na klasztór spoglądają. Rzeźba niekształtna, prosta, ale tak starożytna, że można ją odnieść do pogańskich nawet czasów. Lud twierdzi, że posąg ten stał dawniéj u stóp góry, ztamtąd zaś postępuje powoli na szczyt Łyséj góry, a gdy tam dójdzie, będzie koniec świata. Otóż z tego podania zaczerpnęła Deotyma myśl do poematu: Tomira.

Łysa góra jest najwyższym punktem w Królestwie Polskiém, wzniesiona bowiem przeszło 1800 stóp nad poziom morza Baltyckiego. Nazwa ztąd pochodzi zapewne, że na górze, lasem porosłéj, znajdują się miejsca skaliste, bezleśne, łyse, a mianowicie sam wierzchołek. Lasy okoliczne są piękne i starożytne, dawniéj były obszerne, a że w nich dawniéj zbójcy się gnieździli, ztąd powstało groźne przysłowie: „Będziesz zbijał na świętokrzyskich borach,“ albo: „Wygląda, jak zbójca świętokrzyski.“

Roku 1863 w ostatniém polskiém powstaniu stoczył tu zwycięzką potyczkę dzielny Maryan Langiewicz, w któréj pobił Moskali. Tak więc od najdawniejszych aż do ostatnich czasów Łysa góra pamiętną jest w naszych dziejach. Szczyt ten wyniosły, strojny wspomnieniami przeszłości, uposażony hojnie od przyrody, stoi milczący, posępny, mgłą i chmurami otoczony, a rozwa-



Pędzenie w Sybir.

żając minione wieki, oczekuje szczęśliwéj przyszłości, podobnéj do owych świetnych czasów, kiedy Wielki Bolesław jedną ręką wznosił siedliska oświaty, a drugą, szczerbcem zbrojną, bronił naszéj ziemi od obcych najazdów.

J. K.

Marsz Sybirski.

Ostro po mrozie stąpajmy w szeregu,
Jako straż p zednia męczarni i nędzy,
Jeżeli który zmarzły padnie w śniegu,
Nie płaczmy po nim, on odpocznie prędzéj.
A my pod kolbą, pod batem sołdatów,
Na długo, długo pójdziem w step daleki,
Zanim pod knutem dzikszych jeszcze katów,
Nie odpoczniemy w kopalni na wieki.

Ten brat naczelny z pomiędzy nędzarzy,
Co strat i cierpień swoich nie wymienia,
Co z niewieściemi łzami nie pogwarzy
O żonie, o dzieciach — na co te wspomnienia!
Ten najdzielniejszy, który wie, że zbrodnia
Wrogów się wzmoże jak z wichrem zawieja,
Że w sroższych mękach nadziei pochodnia
Wytli się, zgaśnie — po co ta nadzieja?
Ten nasz bohater, co rzewność pokona,
Kiedy mu w myśli stanie ojców strzecha,
Płacząca matka i starzec... i ona
Łzami zalana — na co ta pociecha!
Ten najmężniejszy, który się nie spodli
Jak bojaźliwy żołnierz podczas bitwy,
Co zdjęty strachem, bezwiednie się modli
O marne życie — po co te modlitwy!
Ten nasz przewódzca, który się nie łudzi—
Choć ludów carskich niewola zmalała
Z naszych męczarni — aby okiem ludzi
Spojrzały na nas — po co nam ta chwała!
Ten najdzielniejszy, co pierwszy dostrzeże,
Iż Moskal, co ci kłął przyjaźń przed Bogiem,
Ukąsi milczkiem jak drapieżne zwierze,
W przyjazne serce—na co przyjaźń z wrogiem!

Z ziemi, gdzie dymią zgorzeliska czarne,
Gdzie sterczą z gruzów szubieniczne słupy,
Idziemy śmiało — jak duchy smętarne,
Martwi na męki — jak chodzące trupy.
Kiedy nam w sercach nawet głos rozpaczy
Już brzmi za cicho przy brzęku kajdanów,
Jednak, nędzarze, patrzym na siepaczy
Okiem aniołów na hordę szatanów.

Przed nami śnieżne bez granic przestrzenie
Lub bór dziewiczy ciemny pas rozrzuca,
W koło nas wichru stepowego tchnienie
Wysysa oddech, pożera nam płuca.
Nad nami błyska na wieczornem niebie
Północna, krwawo zrumieniona zorza..
I na całunach śniegów w koło siebie
Widzimy krwawe plamy, krwawe morza.

I kat téj jednéj nie wydrze nam wiary,
I knut w nas głosu tego nie oniemi,
Że za męczarnie nasze i ofiary
Krwi morza muszą płynąc w carskiéj ziemi.
Z tą wiarą będziem przykuci kopali,
Będziem kilofem rąbać skały ściany,
Jeśli załamie się i nas przywali,
To się zagrzebią pod nią — te szatany.

Bo choć zaleją brzeg rzeki powolzie,
Rzeka się musi zawrócić do łoża,
Choć dzicz się pastwi na wolnym narodzie,
Nie da go zalać dłoń dziejów, dłoń Boża;
Choć ta dzicz drzewem szerokich gałęzi,
Z pniem grubym, z czołem patrzącém w obłoki,
Ale grunt, który korzenie mu więzi,
Już mu nie starczy na pożywne soki.

A drzewo takie pada samo w lesie
Olbrzymim trupem — wtedy podejść blisko,
To kilka dłoni olbrzyma podniesie
I spruchniałego rzuci na ognisko.
Niechaj potrząśnie raz wolności ręka,
Carskiéj budowy kunsztownemi wroty,
Wyłamie — to wraz spaczy się, popęka,
Runie zlep strachu, zbrodni i ciemnoty.

Ostro po mrozie stąpajmy w szeregu,
Jako straż przednia męczarni i nędzy,
Jeżeli który zmarzły padnie w śniegu,
Nie płaczmy po nim, on odpocznie prędzéj.
A my pod kolbą, pod batem sołdatów
Na długo, długo pójdziem w step daleki,
Zanim pod knutem dzikszych jeszcze katów
Nie odpoczniemy w kopalni na wieki.

Włodzimierz Wolski.

Wycieczki po niebie

przez

Dr. Daniela Wierzbickiego.

O Meteorach.

(Dokończenie)

Kamienie meteoryczne spadają często z chmurki nagle się tworzącéj bez objawienia się przytém jakich zjawisk powietrznych i świetlnych. Wysokość ukazania się ich nad poziomem może być tylko oznaczoną przez równoczesne ich obserwowanie w różnych miejscach ziemi; że takie obserwowanie jest tylko rzeczą przypadku, łatwo każden pojmie, boć ukazania się ich ani przewidzieć ani obrachować naprzód nie można. O kształcie ich drogi mało da się powiedzieć; zwykle lecą one w mniéj lub więcéj ku poziomowi pochyłym kierunku, przechodząc często po nad wielkim obszarem ziemi, jak np. kula ognista w roku 1782 widziana, przeciągła po nad Szkocyą, Anglią, Francyą i Włochami. Również trudno jest obliczyć chyżość ich biegu, domyślać się atoli można, że chyżość ta musi być nadzwyczaj wielką. Kula ognista widziana w roku 1676 w całych Włoszech i Niemczech, biegła z chyżością 40 mil geograficznych na minutę; inna z roku 1719 z chyżością 70 mil, zaś powyżéj wspomniana z roku 1782 z chyżością 4 mile na sekundę, a więc prawie z chyżością równą chyżości ziemi w jéj obrocie około słońca.

Kule ogniste pękają zwykle w powietrzu, prawdopodobnie dla tego, że wewnątrz nich jest para, która zewnętrzną powłokę rozsadza. Masy, jakie po pęknięciu kuli na ziemię spadają, można na trzy gatunki podzielić: 1) na tak zwane a e r o l i t y czyli kamienie meteoryczne w ścisłém znaczeniu, będące składem chemicznym kilku różnych ciał, 2) na tak zwane ż e l a z o r o d z i m e, które przychodzi z przymieszką części ziemnych lub nie, i nareście 3) o p a d y składające się z części pyłowych w stanie suchym lub mokrym.

Aerolity po spadnięciu są zwykle bardzo gorące, często jarzące się i miękkie, tak iż na swéj powierzchni mają odbicia wciśnięte od ciał, na które spadły. Aerolit, który w roku 1847 spadł w Czechach, w 6 godzin po spadnięciu był jeszcze tak gorący, że go dotykać nie można było. Powłoka ich bywa czarna i tego samego składu, co i wnętrze, rzadko grubsza nad czwartą część linii. Utworzenie się téj powłoki jest do dziś niewytłomaczoném, bo chociaż ona zdaje się powstawać przez topienie, to przecież nie ma ona żadnego podobieństwa ani z powłoką ciał wyrzuconych przez nasze wulkany, ani z powłoką otrzymaną wskutek sztucznego topienia, a nawet przez topienie samychże aerolitów podobnéj powłoki otrzymać nie zdołano. Główną składową częścią aerolitów jest żelazo, które częścią w stanie czysto-metalicznym, częścią zaś w różnych połączeniach przychodzi; oprócz żelaza odkryto dotąd w aerolitach kwasoród, siarkę, fosfór, węgiel, chrom wapień, mangan, miedź, cynę, czasem także arszenik i chlor.

Co do wielkości aerolitów, to ta bywa zbyt rozmaitą; najmniejsze dotąd znane mają pół łóta ciężaru, największy zaś znaleziony w Peru waży 300 centnarów.

Zjawisko spadania drugiego gatunku, tj. żelaza rodzimego, jest rzadszém od poprzedzającego. W roku 1751 spadły koło Hradczyny w Kroacyi 2 kawały żelaza, jeden ważący 71 funtów, drugi 12 funtów. Żelazo takie albo jest zbite i gęste, zawiera w sobie nikiel i kuć się daje, alboli téż ma wejrzenie grubodziurkowatéj gąbki z żelaza rodzimego, któréj wszystkie dziurki są

okrągłe jakby sztucznie wyrobione, a prócz tego pięknemi kryształami oliwinu wypełnione. Podobne masy żelaza poznajdywano także w okolicach, gdzie ani pokłady żelaza, ani huty żelazne się nie znajdują, jak np. w roku 1749 znaleziono na jednym z najwyższych szczytów gór łupkowych w Syberyi masę żelaza ważącą 1400 funtów rosyjskich. Rozbiór jéj chemiczny wykazał 88 części na sto żelaza, 11 części niklu, reszta zaś przypadała dla innych ciał tj. dla kobaltu, cyny, miedzi, węgla, siarki i fosforu. Największe masy t kiego żelaza znachodzą się koło Senegalu w Af yce, w okolicy, gdzie zupełnie pokładów żelaza nie ma, i służy ono tamecznym mieszkańcom do wyrabiania naczyń; w południowéj Ameryce, w okolicach, gdzie nie tylko żadnych gór, ale nawet kamienia nie napotkasz, poznajdywano również masy żelaza do kilkuset centnarów ważące.

Najrzadszemi ze wszystkich są opady trzeciego gatunku, tj. meteorolity w formie pyłu. Także i tym towarzyszy zwykle zjawisko kuli ognistéj pękającéj z wielkim hukiem, czasem zaś tylko silny i rozległy huk.

Zjawiska te wszystkie są zupełnie niezależne ani od pory dnia lub roku, ani od okolic, ani od położenia geograficznego lub stanu atmosfery. Łatwo pojąć, że we dnie więcéj takich zjawisk zostało spostrzeżonych, aniżeli w nocy, jako też, że najwięcéj deszczów kamiennych widziano w Europie, a mianowicie w tych jéj częściach, gdzie przyrodą więcéj się zajmowano.

Tak obeznawszy się pobieżnie z samém zjawiskiem, szukajmy teraz za jego przyczynami i początkiem. Ale jeżeli samo zmysłowe rozpoznanie i dokładne opisanie tego zjawiska na tyle trudności, jak widzieliśmy, napotykało i napotyka, to cóż dopiero mówić o wykazaniu przyczyn i zbadaniu początku. To też badacze przyrody w tym punkcie zupełnie się z sobą dotąd nie zgadzają, a łatając dziurę w umiejętności jak mogą, stawiają między innemi cztery ważniejsze przypuszczenia.

Podług jednych ciała te podobnie, jak inne ciała niebieskie, poruszają się wolno w przestrzeni, czyli jak je umiejętność nazywa, są to ciała kosmiczne, które zbliżywszy się do ziemi, bywają przez nią przyciągnięte. Podług innych są to ciała pochodzące z wulkanów księżycowych. Trzecie mniemanie znow twierdzi, że tworzą się one podobnie, jak śnieg, grad itp z ciał i pierwiastków, które się w naszéj atmosferze znajdują, a czwarte wreszcie powiada, że są to płody naszych wulkanów ziemskich, które wyrzucone z tychże do góry, spadają nazad na ziemię.

Ponieważ ostatnie to mniemanie ma najmniéj zwolenników, boć też na obalenie jego dość rozważyć, że masa wyrzucona z wulkanu ziemskiego nie ma żadnego podobieństwa do kamieni meteorycznych, rozważmy więc w krótkości, co tamte trzy pozostałe mają za sobą, a co przeciw sobie.

I tak przeciwko mniemaniu, że aerolity są płodami wulkanów księżycowych, nie byłoby nic do zarzucenia, gdybyśmy z pewnością przypuścić mogli, że wulkany księżycowe jeszcze teraz są czynne; w takim bowiem razie kamień wyrzucony z tamecznego wulkanu, oddalając się coraz bardziéj od księżyca, jeżeli tyle do ziemi się zbliży, że siła przyciągania, jaką ziemia nań wywiera, jest większą od siły, z jaką go księżyc do siebie napowrót ściągnąć usiłuje, na ziemię spaść musi. Ponieważ zaś, jak astronomowie obliczyli, siła przyciągania ziemi jest 5 razy większą niż siła przyciągania księżyca, i ponieważ księżyc nie ma żadnéj atmosfery, o którychto rzeczach mówiąc kiedyś o księżycu obszerniéj powiemy, zatém ciało wyrzucone w górę z powierzchni księżyca, nie napotyka w biegu swoim na opór powietrza, bo go tam nie ma, zaś jego ciężar własny bardzo mało w locie jego mu przeszkadza, bo tam każde ciało jest 5 razy lżejsze, aniżeli na ziemi, czyli, że ciało z równą siłą rzucone z ziemi i księżyca, oddalić się musi 5 razy daléj od księżyca, aniżeli od ziemi. Chodzi tylko o to, z jaką chyżością z samego początku rzuconóm zostało, co naturalnie zależy od siły rzutu, podobnie jak np. kula z działa wystrzelona ma większą chyżość, aniżeli taż sama kula rzucona ręką. Obrachowano więc następnie, że kamień rzucony z księżyca z taką siłą, iżby chyżość jego zaraz z początku wynosiła 7770 stóp na sekundę, doleciałby aż do granicy, w któréj siła przyciągania ziemi i księżyca spotykają się niejako wzajem i z sobą równoważą, tj. gdzie kamień ów z równą siłą przez ziemię i przez księżyc byłby przyciąganym. Ale jeżeli tenże kamień już z cokolwiek większą chyżością, np. 8000 stóp na sekundę, rzuconym zostanie, to już granicę tę przekroczyć musi i wejdzie w sferę przyciągającego działania ziemi, a skutkiem tego już nie na księżyc napowrót, ale na ziemię spaść musi. Ale powiedzieliśmy powyżéj, że kule ogniste bieżą często z chyżością kilku mil na sekundę, jakżeby więc masy, które wyszły z księżyca z chyżością wyżéj rzeczoną 8000 stóp, mogły nabyć tak ogromnéj chyżości, spadając na ziemię. Wprawdzie chyżość tych ciał w czasie ich ku ziemi spadania powiększa się, ale chcąc, iżby one przy wejściu w naszą atmosferę 5 mil na sekundę przebiegały, musiałyby, jak rachunkiem okazano, wyjść z księżyca z chyżością więcéj niż 4 mile na sekundę, co trudno przypuścić, iżby wulkany księżycowe były w stanie rzucać masy z tak ogromną siłą. Wspomnieliśmy prócz tego powyżéj, że wyrzucanie kamieni z księżyca tylko pod tém przypuszczeniem być może, jeżeli tameczne wulkany są czynne, co atoli jest nader wątpliwém; atmosfery bowiem czyli powietrza księżyc nie ma, a więc nie ma także najgłówniejszéj części składowéj powietrza tj. kwasorodu, który do palenia się ciał jest niezbędnym, a ztąd naturalny wniosek, że proces palenia jest na księżycu nieznanym, a więc i wybuchy wulkaniczne, które są skutkiem tylko palenia się wewnętrznego, istnieć nie mogą.

Wkrótce potém, gdy Chladni spadanie kamieni postawił na stanowisku rzeczy zaprzeczyć się nie dających, mniemanie, że aerolity tworzą się w naszéj atmosferze, znalazło wielu zwolenników i utrzymywało się aż do niedawnych czasów. Na pytanie, w jaki sposób ciała metaliczne i inne, które wchodzą w skład tychże aerolitów, mogły się dostać do naszego powietrza, odpowiadano w dwojaki sposób. Albo twierdzono, że ciała te w formie pary wznoszą się ze ziemi, a w wyższych warstwach powietrza skraplając się i tężejąc, tworzą się z tego ciała stałe, — alboli téż twierdzono, że ciała te już się znajdują w wyższych warstwach naszéj atmosfery, tworząc w ten sposób część składową téjże. Oba atoli przypuszczenia mają wiele przeciwko sobie. I tak najprzód co do twierdzenia, że ciała wchodzące w skład aerolitów pochodzą z pary ze ziemi się wznoszącéj, to słusznać to wprawdzie, że przy wielu fabrykach jak np. przy topieniu metali widzimy podobne parowanie i to na wielką skalę, a więc i przy ogniach wulkanicznych nie tylko to jest możliwém, ale konieczném. Do jednéj n. p. z większych lejarni Europy dowożą rocznie 124000 centnarów żywicy, a z tego otrzymują w metalach i pozostałych żużlach tylko 79200 centnarów, reszta więc, wynosząca 44800 centnarów a składająca się z wody, ołowiu, żelaza, cynku, siarki i arszeniku, uchodzi przez parowanie w powietrze. Ale jeżeli aerolity z tych par tworzyć się mają, dla czegóż w nich znachodzimy tylko niektóre ciała składowe jak np. nikiel, który nie należy wcale do ciał bardzo łatwo parujących, zaś innych jak ołówiu, cynku, które atwiéj parują i więcéj ich napotkać można, nigdy w aerolitach nie odkryto?

Jakoby aerolity tworzyły się z części składowych wyższych warstw powietrza, to i to nieprawda, bo chemiczny rozbiór naszego powietrza ani śladu z tych ciał,

które w aerolitach przychodzą, wyjąwszy kwasorodu i węglika, nie wykazał.

Mówią wprawdzie, że środki chemii na to nie wystarczają, bo przecież codzień wiele ciał jako para wznosi się w powietrze, których atoli nigdy rozbiór chemiczny nie odkrył; zapominają przecież, że pary takie prawdopodobnie zaraz opadają na ziemię jako pył delikatny.

Pozostaje nam wreszcie ostatnie mniemanie, które uważa kule ogniste jako ciała kosmiczne, powstające w przestrzeni, niezawiśle od naszéj ziemi, mniemanie, które najmniéj zbacza od znanych dotąd praw natury. Skoro bowiem dowiedziono, że wysokość, w jakiéj się kule ogniste pojawiają, i ich chyżość są nadzwyczaj wielkie, a prócz tego skoro zwrócono szczególną uwagę na ich peryodyczne pokazywanie się i pewne okolice nieba, w których one zwykle się pojawiają, o czém przy gwiazdach spadających obszerniéj powiemy, wtedy wszystkie poprzednie twierdzenia upáść musiały. Natomiast przyjęto, że to są ciała podobne do innych ciał niebieskich, że między niemi a tak zwanemi gwiazdami spadającemi żadnéj nie masz różnicy, że więc one z przestrzeni świata pochodząc, jeżeli wejdą w naszą atmosferę, wszystkie już nam znajome zjawiska wywołać muszą. Jeżeli mniemanie to stwierdzoném zostanie, co dzisiaj staranne poszukiwania i badania na tém polu już poniekąd stwierdzają, to meteorolity staną się dla nas łącznią między niebem a ziemią, bo zapomocą nich nabierzemy jakiéjś pewnéj wiadomości o naturze ciał tę ogromną przestrzeń wypełniających.

O stowarzyszeniu włoskiém „Kamorra" zwanem.

(Dokończenie.)

Obaczmy ich teraz na wolności. Całe towarzystwo dzieli się na dwie klasy, niższą i wyższą kamorrę. Niższa składa się z pospolitych, nieoświeconych ludzi, którzy są tylko parobkami i niewolnikami wyżéj ukształconych kamorrystów, a zajmują się najpowszedniejszą cząstką łotrowskiego rzemiosła. Jedni kradną, inni przebrani za żebraków lub wieśniaków szpiegują, inni donoszą, co się dzieje wśród towarzyszy rozrzuconych po całych Włoszech, inni napadają bandami podróżnych lub mieszkańców po wsiach i małych miasteczkach, inni wreszcie zabijają wskazane im przez naczelników osoby już to jako mściciele osób nieznanych, za co znaczne odbierają nagrody, już téż mszcząc się na kim za szkody lub zdrady kamorze wyrządzone, co nie bywa wynagradzane. Do wszystkich tych czynów używają się ludzie najpospolitsi i najsurowsi, zostający pod dowództwem naczelników cząstkowych.

Część wyższa kamorry składa się z złoczyńców już więcéj wykształconych, przytém najzręczniejszych i najśmielszych, między tymi są ludzie mający mieszkania stałe po wsiach i miastach, wszelkiego stanu, począwszy od ubogich rzemieślników, kramarzy i przemysłowców, aż do właścicieli gruntu i kamienic i elegantów salonowych w żółtych rękawiczkach, z pierścieniami na palcach, ubranych najwykwintniéj, paradujących po ulicach wielkich miast powozami w towarzystwie również strojnych dam. Ta część kamorry ma lżejsze i nie tyle niebezpieczne zajęcia. Jedni wybierają podatki od bojaźliwych ludzi wszelkiego stanu, inni przechowują rzeczy kradzione lub przemycane, inni je sprzedają lub przerabiają a kruszcowe przetapiają, inni ogrywają nieświadomych w karty i kości, okradają zręcznie po kościołach, hotelach, w teatrach; inni bywają w tym samym celu na salonach i ofiarują swoją pomoc w różnych przygodach, pożyczają pieniędzy, dostarczają trucizny, mięszają się z korzyścią dla kamorry w stósunki familijne, wreszcie odgrywają i role polityczne, jako szpiegowie.

I ci kamorryści mają swoich naczelników, którym winni są posłuszeństwo bez granic, wszyscy zaś razem obowiązani są wszelkie zdobycze i łupy składać sumiennie w miejsca umówione, gdzie właściwi naczelnicy podziały robią według pewnych ustaw, dla siebie naturalnie największe biorąc cząstki. Przeniewierzanie się pojedyńczych osób stowarzyszenia lub zatrzymanie sobie jakiéj rzeczy zdobytéj oszustwem lub kradzieżą, najsurowiéj bywa karane. Jedną z takich kar, najnieprzyjemniejszą dla kamorzystów, jest wykluczenie na pewien czas z towarzystwa lub wyrzucenie zupełne na zawsze. Ta kara niezmiernie obraża ich złodziejski honor, dla tego starają się w takim razie najusilniéj o przywrócenie tego honoru zasadzającego się na należeniu do kamorry. Jakoż nieraz bywało, że taki wywołaniec popełnił najśmielsze kradzieże, najsroższych się dopuścił zbrodni, byle go tylko napowrót przyjęto, co téż i uzyskiwał.

Kamorryści dopuszczają się najohydniejszych występków i najcięższych zbrodni, ale biada każdemu, kto się dopuści choć najmniejszego przestępstwa przeciw ustawom kamorry. Ta surowość nieubłagana silnie działa na pospolitych złoczyńców, których inaczéj trudno utrzymać w karbach posłuszeństwa. Również karzą, jeźli który z kamorrystów nie wypełnił danego polecenia albo je wypełnił niezręcznie. Jeźli się który waha popełnić morderstwo, przytaczają mu jednę z sentencyi swoich, zawierającą zarazem groźbę w tych słowach: Kto się wzbrania zostać katem, stanie się ofiarą; kto nie dobędzie noża, zginie od noża.

Wszystkie ustawy tego towarzystwa są tak jasne a krótkie i groźne, że każdemu łatwo zostają w pamięci; na samo ich wspomnienie drzy każdy towarzysz, choć bez wzdrygnienia popełnia największe okrucieństwa. Poszanowanie dla tych ustaw i naczelników a solidarność nierozerwalna pomiędzy członkami stanowią główną siłę i węzeł zarazem, to téż prawie bajeczne były czyny tego stowarzyszenia. Za najlepszych dla kamorry czasów nie można się było ruszyć w Neapolitańskiém, mianowicie w saméj stolicy, żeby nie spotkać jéj czynnych członków. Ludność miejscowa najsrożéj na tém cierpiała. Każdy się musiał opłacać, każdy zyskiem z nimi dzielić, a jeźli kto kogo oszukał, musiał jako nie należący do stowarzyszenia oszust wszystek zysk oddać kamorze.

Przewodnicy cudzoziemców, rybacy, doróżkarze, kupcy, rzemieślnicy, wieśniacy na targi przyjeżdżający, co dzień musieli czynsze płacić kamorrystom, którzy wszędzie czyhali na nich, mianowicie po rogach ulic, przy bramach, na mostach, na wybrzeżu morskiém, po winiarniach i innych miejscach publicznych, przybrani najrozmaiciéj, czasem jako żebracy, czasem téż bardzo pięknie, jako kawalerowie dobrego towarzystwa. Zwykle na ucho szepnęli tylko dwa słówka: dla kamorry! a natychmiast nagabnięty sięgnął do kieszeni i dał niechętną ofiarę. Jeźli się wydała za małą dla żądającego, powtórzył swoje zaklęcie a często sam naznaczał sumę.

Wszędzie, na każdym kroku śledzono i mieszkańców i przybywających do Neapolu lub okolicznych miejsc, i obierano w jasny dzień jak najśmieléj. Jeźli gdzie choć w kryjówce grano w kości lub karty, wciskał się tam kamorrysta i od wygrywających żądał głośno działu dla kamorry. Sprzedał kto co bądź na ulicy, czy w domu, niezawodnie przyszedł kamorrysta upomnieć się o część zysku. Odmówić nikt prawie nie miał odwagi. Znali téż członkowie kamorry doskonale każdego, wybierali więc umiejętnie swoje ofiary, najwięcéj pomiędzy pospólstwem.

Towarzystwo to nie miało, jakeśmy już wspomnieli, żadnych ustaw pisanych, wystrzegało się przytém wszelkich korespondencyi piśmiennych jako łacno zdradzających, nadto zaś miało osobny swój język niezrozumiały dla niewtajemniczonych. Język ten podobny do używanego i u nas pomiędzy złodziejami był bardzo prosty; tak np. śpi znaczyło umarł; okradzionego zwano barankiem; nóż, marcinkiem; broń palną, gębą; żandarmów, szparagami; pałasz piastrem; rewolwer, bócikiem itp. Dowódzcy byli rozmaici, mniejszą lub większą obdarzeni władzą, której także przekraczać nie śmieli, bo karani bywali od wyższych zwierzchników, niekiedy zaś przez zgromadzenie pospolitych kamorrystów, znających prawa i przywileje swoich dowódzców.

Początek kamorry sięga bardzo dawnych, niepamiętnych czasów; odkąd bowiem są oszusty, fałszerze, złodzieje, zbójcy i wszyscy inni ciemiężcy słabszych a uczciwych, wyzyskujący bliźnich swoich nieuczciwym podstępem lub przemocą, odtąd istnieje kamorra w całym świecie, chociaż tego nazwiska nie nosi; lecz kamorra włoska, jaką jest, jeszcze dzisiaj, więcéj znana pod nazwiskiem brygantyzmu, sięga tradycyami zaledwie roku 1820 a pierwsze o niéj wiadomości pewniejsze poczęły się z rokiem 1830. Nazwisko kamorra, pochodzące podobno od krótkiego ubioru hiszpańskiego chamarra zwanego, jakiego używali pierwsi w towarzystwo się łączący przemytnicy i rozbójnicy włoscy, poczęło dopiero po roku 1830 nabierać rozgłosu.

Organizacya kamorry jeszcze wówczas słaba i niedołężna, wydoskonaliła się dopiero późniéj po więzieniach, a spotężniała pod rządem neapolitańskim za panowania Burbonów, zwłaszcza podczas ostatnich wojen włoskich, kiedy kamorryści odgrywać poczęli i role polityczne. Nazwiska dwóch przynajmniéj dowódzców kamorry Crocco i Crescenzo znane są zapewne i Szanownym czytelnikom naszym, przed kilku bowiem laty częste o nich były wzmianki w dziennikach naszych.

Wtedy stali kamorryści na szczycie swéj potęgi; dzisiaj silnie już rozbici, zostaną niezawodnie zniweczeni do szczętu, co jednakże dopiero wtenczas nastąpić może, kiedy pomiędzy ludem, mianowicie w prowincyach południowych, gruntowna się rozszerzy oświata a z nią pospołu moralność oparta na chrześciańskiéj miłości bliźniego, ujęta treściwie w słowa tak żywo tkwiące w pamięci każdego wykształceńszego Polaka:

> Nie pożądaj co cudzego,
> Szanuj wszystkie stany,
> Znaj w człowieku brata twego
> Czcij Pana nad Pany.

Prócz rozszerzenia takiéj oświaty potrzeba i silnéj a lepszéj niż dotąd administracyi, aby złe żywioły wykorzenić umiała i mogła.

Dzisiejsza kamorra stanie może do walki przeciw niweczącym ją rządom i zginie, czego takiemu stowarzyszeniu życzyć należy. Natomiast powinniśmy wszyscy życzyć powodzenia stowarzyszeniom zacnym i szlachetnym, oświeconego narodu godnym, jakiemi i my już kilku poszczycić się możemy np. Tow. Pomocy Naukowéj imenia Marcinkowskiego, Tow. Przyjaciół Nauk, Tow. ku wspieraniu urzędników rólniczych i kilku innemi.

Hieronim Feldmanowski.

ROZMAITOŚCI.

(Nowa wyspa.) W r. 1831, przy brzegu Sycylii, widziano powstającą wyspę wulkaniczną. Naprzód co kwadrans morze rzucało duży promień wody na 30—40 metrów ($52^1/_2$ do 70 łokci) wysoko, który po 10 minutach spadał, pozostawiając wielki tuman pary, wznoszącéj się do 500 przeszło metrów.

Wkrótce potém morze okryło się czarną pianą i cząstkami wulkanicznemi; znaczna ilość ryb nieżywych pływała po powierzchni wody.

Niedługo, pewien kapitan sycylijski odkrył w tém miejscu małą wysepkę, kilka metrów powierzchni mającą z kraterem w środku, wyrzucającym materye wulkaniczne i wielką ilość pary. Krater z wolna się podnosił, wysepka rosła i w ciągu kilku miesięcy miała już 4 do 6 kilometrów (milę) obwodu.

Pewien geolog niemiecki, p. Hoffmann, zwiedził i opisał tę wyspę, a w miesiąc potém, francuski uczony, pan Konstanty Prévost, wysłany został na brygu rządowym dla zbadania tego zjawiska. Oficer marynarki p. de Greulecroy, w towarzystwie dwóch majtków, z narażeniem życia rzucił się wpław i dopłynął do téj wyspy, na któréj termometer wskazywał 81 do 85 stopni gorąca. Na drugi dzień p. Prévost wysiadł na wyspę i podał bardzo ciekawe szczegóły o téj dziwnéj formacyi wulkanicznéj.

Po dokładném zbadaniu miejscowości p. Konstanty Prévost zaraz przepowiedział, że po wygaśnięciu krateru, bałwany morskie zniszczą i rozpędzą gęstą pianę, z któréj wyspa była utworzoną. co się też niezadługo sprawdziło. Wyspa ukazała się w lipcu 1831 roku, a w końcu października tegoż samego roku, została tylko góra piasku i piany; w sześć miesięcy potém i ta wyniosłość znikła i zamieniła się na niebezpieczną podwodną rafę kształtu owalnego, mającą jeden kilometr długości. W kilka lat późniéj zapuszczona sonda nie natrafiła już na żadne ślady gruntu, a dno morza w tém miejscu powróciło do normalnéj swéj głbęokości 214 metrów.

Jakie będą losy na nowo teraz w roku 1869 ukazującéj się w temże samém miejscu wyspy? Czy powtórzą się wypadki z r. 1831? — Niedaleka przyszłość nam pokaże.

Szarada.

Trzy pierwsze znaczą kosztowne kamienie,
Zdobią pętlice, pieczęcie, pierścienie;
Czwarte i piąte imię miasta znaczy,
A również także zwrotną tkanin stronę;
Drugiém i czwartem witasz obcą żonę,
Lub téż dziewicę, gdy cię słuchać raczy;
Trzecie i czwarte mówią o osobie,
Gdy się znajduje w lenistwa chorobie;
Drugie i piąte — masz pewnego pana,
Piąte i drugie — oznacza barana.
Wszystko zaś razem, brzmiąc pięcioma głosy,
Jest miasto w Polsce. Opatrzności losy
Rodzinę, co się od miasta wywiodła,
Z ziemi już wzięty do wieczności źródła.

(Rozwiązanie szarady w nr. 38: **Potop.**)

PUSZKA DO LISTOW.

Panu Aleksandrowi z Żółkwi: Wierszyk o Wiośnie zachowamy do stósowniejszéj pory.

Panu Filipiakowi z Cilcza pod Mieszk.: Prosimy o częstszą pamięć.

Panu Mar. z pod Kiszkowa: Tym razem przesyłka się nie udała; z powodu niedostaiecznego opatrzenia przyaresztowaną została w „Bukareszcie."

Panu Fiert. w Grodz.: Chętniebyśmy się odpowiedzieli życzeniom Pańskim, gdybyś Pan zechciał odpowiedzieć naszym. Proponowana biografia, nie stósowna dla Sobótki. Opis kościoła, jeźli ciekawy, przyjmiemy, sprowadzeniem ryciny nie będziemy Pana fatygowali.

Panu N. N. z pod Kłecka: Za przezroczyste.

Panu Józef. Dz. w Inowrocł. Niechcielibyśmy Pana uwodzić nadziejami, pozostawmy więc kwestye czasowi, tymczasem westchniejmy razem nad „Śmiercią rybaka".

Panu N. w Toruniu: Na interpelacyą Pańską co do szarad odpowi damy: Publiczność ma prawo reprezentacyi, a my prawo rugów.

Z przyszłym numerem rozpoczyna Sobótka czwarty kwartał swego istnienia — w którym prócz dokończenia powieści Kraszewskiego „W mętnéj wodzie" jeszcze inne mniejsze powieści zostaną wydrukowane.

Szanownych Czytelników Sobótki upraszam, by to najtańsze illustrowane pismo czasowe nie tylko sami zapisywali, lecz i swych znajomych do prenumeraty naklaniali.

Mieczysław Leitgeber.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Roman Szymański w Poznaniu, Lipowa ul. nr. 2. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu. Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.